

Fenomenalny thriller.  
Najlepszy, jaki przeczytasz w tym roku.

STEPHEN KING

RILEY SAGER

# OCALAŁE





R I L E Y   S A G E R

# OCALAŁE

tłumaczenie Aleksandra Wolnicka



**OTWARTE**

Kraków 2018

Tytuł oryginału: *Final Girls*

Copyright © 2017 by Todd Ritter

Copyright © for the translation by Aleksandra Wolnicka

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargaskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia Mole

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce:

kobieta – © Aleshyn\_Andrei / Shutterstock.com,

gałęzie – © sema srinouljan / Shutterstock.com,

© Aleshyn\_Andrei / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-428-3



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Dla Mike'a*



## **PINE COTTAGE, GODZINA 1.00 W NOCY**

Las miał kły i pazury.

Skąły, ciernie i zarośla szarpały ciało Quincy, gdy ta biegła z krzykiem między drzewami. Nie zatrzymała się jednak: ani wtedy, gdy ostre kamienie raniły podeszwy jej bosych stóp, ani gdy jakaś witka cięła ją przez twarz niczym bat, aż policzek spłynął krwią.

Zatrzymanie się nie wchodziło w grę. Zatrzymać się znaczyło umrzeć. Biegła więc dalej, chociaż w którymś momencie pęd jeżyn owinął się wokół jej kostki, raniąc kolcami skórę. Naprężył się i pękł, a rozpędzona Quincy zdołała oswobodzić nogę. Jeżeli nawet ją zabolalo, to tego nie odczuła. Jej ciało nie było w stanie pomieścić w sobie więcej bólu.

Instynkt nakazywał jej biec – podświadome przekonanie, żeby gnać przed siebie bez względu na wszystko. Zdążyła zapomnieć, przed czym ucieka. Wspomnienia wydarzeń sprzed pięciu, dziesięciu i piętnastu minut wyparowały. Była pewna, że gdyby jej życie zależało od tego, czy sobie przypomni, co skłoniło ją do biegu przez las, od razu umarłaby tam na mchu.

Biegła więc. Krzyczała. Starła się nie myśleć o umieraniu.

W pewnym oddaleniu majaczyła biała poświata, ledwie widoczna przez gęstwinę drzew.

Światła reflektorów samochodowych.

Czyżby była już blisko drogi? Quincy miała taką nadzieję. Wraz z pamięcią straciła też wszelkie poczucie orientacji w terenie.

Biegła coraz szybciej. Krzyczała coraz głośniej. Gnała w stronę światła.

Znowu jakaś gałąź trafiła ją w twarz. Większa niż poprzednio, grubości kuchennego wałka. Impet uderzenia ogłuszył ją i na moment oślepił. Głowa zaczęła pulsować z bólu, wzrok się zaćmił, przed oczami zapłonęły błękitne iskierki. Kiedy zniknęły, w świetle reflektorów ujrziała jakąś postać.

To był mężczyzna.

On.

Nie, nie On.

Ktoś inny.

Była bezpieczna.

Quincy przyspieszyła kroku. Zakrwawione ramiona same wyciągały się do przodu, jakby to mogło przybliżyć ją do nieznanego. Ruch sprawił, że bark dziewczyny przeszył ostry ból. Nie wypełnił luk w jej pamięci, lecz wraz z nim spłynęło zrozumienie. Myśl tak potworna, że musiała być prawdziwa.

Tylko ona ocalała.

Pozostali zginęli.

Quincy była jedyną, która przeżyła.

Gdy dzwoni Jeff, dłonie mam całe w słodkiej polewie. Pomimo moich wysiłków krem francuski dostał się na knykcie i w zagłębienia między palcami rąk, gdzie zasechł na mur. Tylko mały palec jest względnie czysty i to nim naciskam klawisz włączający głośnik w telefonie.

– Carpenter i Richards, prywatne biuro detektywistyczne – mówię, naśladowując zmysłową sekretarkę ze staroświeckich kryminalów. – Z kim mam połączyć?

Jeff gładko wchodzi w rolę; ton twardziela plasuje go gdzieś między Robertem Mitchumem\* a Daną Andrewsem\*\*:

– Daj no mi do aparatu pannę Carpenter, złotko. Muszę z nią porozmawiać, *pronto*.

– Panna Carpenter jest teraz bardzo zajęta. Coś jej przekazać?

– Tak – odpowiada Jeff. – Powiedz jej, że mój lot z Chi-Town\*\*\* się opóźni.

---

\* Robert Charles Mitchum – amerykański aktor telewizyjny i filmowy, zasłynął z ról w filmach noir (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

\*\* Carver Dana Andrews – amerykański aktor, gwiazda filmowa lat 40., najbardziej znany z roli w filmie *Najlepsze lata naszego życia*.

\*\*\* Slangowe określenie Chicago.

Natychmiast przestaję grać.

– Och, Jeff! Naprawdę?

– Przykro mi, skarbie. Kłopoty z wylotem z Wietrznego Miasta.

– Duże masz opóźnienie?

– Od dwóch godzin do „być-może-dotrę-do-domu-w-przyszłym-tygodniu” – oznajmia. – Jedyna korzyść, że dzięki temu ominie mnie początek sezonu wypieków.

– Chciałbyś, kolego.

– Nawiasem mówiąc, jak ci idzie?

Spoglądam na swoje dłonie.

– Opornie.

„Sezonem wypieków” Jeff nazywa wyczerpujący okres od początku października aż do końca grudnia, kiedy to jedne po drugich nieubłaganie nadciągają różnorakie święta, w nich zaś kluczową rolę odgrywają desery. Zwykle wymawia te słowa złowieszczym tonem, unosząc ręce do góry i przebierając palcami na podobieństwo pajęczych odnóży.

Jak na ironię to właśnie przez pajaka ręce mam całe w kremie. Zrobiony jest z masy czekoladowej i tułowiem balansuje na krawędzi babeczki. Jego czarne nogi częściowo spoczywają na wierzchu ciastka, częściowo zwisają po bokach. Kiedy skończę, wszystkie babeczki zostaną odpowiednio wyeksponowane, sfotografowane, następnie zaś wystawione na mojej stronie internetowej w zakładce z pomysłami wypieków na Halloween. Tegoroczny temat przewodni to „Zemsta psychotek”.

– Jak wygląda sytuacja na lotnisku? – pytam.

– Ścisk, ale przeżyję, pod warunkiem, że zdołam się zakotwiczyć przy barze w hali odlotów.

– Zadzwoń, gdyby samolot miał się bardziej opóźnić – proszę. – Będę na ciebie czekała, cała w słodkiej polewie.

– W takim razie piecz jak szalona – rzuca Jeff.

Rozłącza się. Pora wracać do pajaka ze słodkiej masy i przyozdobionej nim czekoladowo-wiśniowej babeczki. O ile

zrobiłam wszystko tak jak trzeba, po nadgryzieniu ze środka powinno wypłynąć czerwone nadzienie. Później przeprowadzę stosowną próbę, ale na razie interesuje mnie głównie to, co na zewnątrz.

Dekorowanie babeczek jest trudniejsze, niż się wydaje. Zwłaszcza jeżeli efekty mają być podziwiane przez rzesze internautów. Zacieki, smugi i kleksy są wykluczone. W świecie wysokiej rozdzielczości każda skaza jest natychmiast widoczna.

„Szczegóły mają znaczenie” – brzmi jedno z Dziesięciu Przykazań na mojej stronie, wciśnięte między artykuł zatytułowany *Miarki kuchenne twoimi najlepszymi przyjaciółmi* a *Nie bój się porażek*.

Kończę pierwszą babeczkę i biorę się za następną, gdy ponownie dzwoni komórka. Tym razem nie mam do dyspozycji ani jednego czystego palca, więc jestem zmuszona zignorować jej sygnał. Telefon nie przestaje wibrować i płaszać po kuchennym blacie. W końcu milknie i na moment nieruchomieje, by zaraz wydać z siebie znajome piknięcie.

Mam nową wiadomość.

Zaciekawiona odkładam rękaw cukierniczy, wycieram ręce i odczytuję SMS-a.

Jest od Coopa.

*Musimy pogadać. W cztery oczy.*

Moje palce nieruchomieją nad wyświetlaczem. Chociaż podróż samochodem na Manhattan zajmuje Coopowi aż trzy godziny, w przeszłości nieraz ją odbywał, ilekroć chodziło o coś ważnego.

Odpisuję mu:

*Kiedy?*

Po kilku sekundach przychodzi odpowiedź:

*Zaraz. Tam, gdzie zwykle.*

Ze strachu ściska mnie w dole kręgosłupa. Coop jest już na miejscu. A to może oznaczać tylko jedno – że coś się stało.

Przed wyjściem w pośpiechu dokonuję tradycyjnych przygotowań do spotkania z nim. Myję zęby. Nakładam błyszczyk. Łykam xanax i popijam niebieską tabletkę napojem winogronowym prosto z butelki.

W windzie dociera do mnie, że powinnam się przebrać. Wciąż mam na sobie swój strój roboczy: czarne dżinsy, starą koszulę Jeffa i czerwone pantofle na płaskim obcasie. Wszystko przyprószone mąką i noszące ślady zaschniętych barwników spożywczych. Na odwrocie dłoni dostrzegam resztki kremu czekoladowego; przez czarno-granatową masę prześwituje skóra. Wygląda to jak siniec. Zlizuję je.

Wychodzę na Osiemdziesiątą Drugą Ulicę i skręcam w Columbus, gdzie na chodnikach kłębią się przechodnie. Moje ciało spina się na widok tyłu obcych twarzy. Przystaję, by wsunąć zeszywniałą dłoń do torebki i znaleźć pojemnik gazu pieprzowego, z którym nigdy się nie rozstaję. W tłumie człowiek czuje się bezpieczniej, owszem, ale i znacznie mniej pewnie. Dopiero gdy pod palcami wyczuwam zasobnik z gazem, ruszam przed siebie z miną „zostawcie mnie wszyscy w spokoju”.

Chociaż świeci słońce, w powietrzu wyczuwa się chłód. To typowe dla początku października w Nowym Jorku; pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, raz jest ciepło, raz zimno. Mimo wszystko jesień nadciąga wielkimi krokami. Gdy widzę przed sobą park Teodora Roosevelta, korony drzew oscylują między zielenią a złotem.

Nad nimi wznosi się tył gmachu Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej, tego ranka obleganego przez dzieci w wieku szkolnym. Ich głosy śmigają wśród gałęzi jak ptaki. Gdy jedno głośniej krzyknie, reszta milknie, dosłownie na sekundę. Ja także zamieram na chodniku, wytrącona

z równowagi nie przez krzyk, tylko przez ciszę, która po nim zapada. Zaraz jednak znowu rozlega się dziecięcy szczebiot, a ja oddycham z ulgą. Podejmuję przerwany marsz, kierując się do kawiarni oddalonej od muzeum o dwie przecznice na południe.

To nasze tradycyjne miejsce spotkań.

Coop czeka przy stoliku pod oknem. Wygląda tak samo jak zwykle. Ma ostre, kanciaste rysy twarzy, która w chwilach odprężenia przybiera melancholijny wyraz, jak teraz. Jego ciało jest zarazem długie i masywne. Ma ogromne dłonie; na palcu jednej zamiast obrączki tkwi studencki sygnet z rubinem. Jedyne, co się zmienia, to włosy, zawsze krótko przystryżone: przy każdym spotkaniu zauważam w nich coraz więcej siwych pasemek.

Jego obecność w kawiarni nie uchodzi uwagi niań oraz hipsterów na głodzie kofeinowym, których tutaj pełno. Nie ma to jak gliniarz w pełnym umundurowaniu, żeby wprowadzić wśród ludzi niepokój. Nawet bez munduru Coop może onieśmielać. To chłop jak dąb, istna góra mięśni. Wykrochmalona niebieska koszula i czarne spodnie w kant ostry niczym brzytwa sprawiają, że wydaje się jeszcze większy. Gdy wchodzi, podnosi głowę, a w jego oczach dostrzegam znużenie. Musiał przyjechać prosto z pracy.

Na stole przed nim zauważam dwa kubki. Herbata Earl Grey z mlekiem i dodatkowym cukrem dla mnie. Dla niego kawa – czarna, bez cukru.

– Quincy – mówi, skinąwszy mi głową na powitanie.

Zawsze to samo. Skinięcie głową to dla niego substytut uścisku dłoni. Nigdy się nie przytulamy, poza tamtym jednym incydentem w noc, kiedy się poznaliśmy, a ja rozpaczliwie się w niego wczepiłam. Ilekroć go widzę, tyle razy powraca tamto wspomnienie. Mój umysł odtwarza je niczym zapętłony film, dopóki się nie otrząsnę.

„Oni nie żyją – wyjąkałam, obejmując go z całej siły; słowa z bulgotem wydobywały mi się z gardła. – Wszyscy. A on nadal tam jest!”

Dziesięć sekund później uratował mi życie.

– To ci niespodzianka – mówię, siadając na krześle. Staram się zapanować nad drżeniem głosu. Nie wiem, dlaczego Coop chciał się spotkać, ale jeśli przywozi złe wiadomości, muszę je przyjąć ze spokojem.

– Dobrze wyglądasz – stwierdza, mierząc mnie szybkim, zatroskanym spojrzeniem, do którego zdążyłam przywyknąć. – Ale trochę schudłaś.

W jego głosie brzmi niepokój. Na pewno myśli o tamtym trudnym okresie, gdy pół roku po Pine Cottage apetyt całkiem mnie opuścił – do tego stopnia, że po raz kolejny wylądowałam w szpitalu i trzeba mnie było siłą karmić przez rurkę. Pamiętam, że obudziłam się i ujrzałam stojącego przy moim łóżku Coopa. Wpatrywał się w plastikowy przewód, którego końcówkę miałam wsuniętą do nosa.

„Nie zawieź mnie, Quincy – powiedział wtedy. – Nie po to przeżyłaś tamtą noc, żeby teraz umrzeć w taki sposób”.

– To nic – odpowiadam. – W końcu się nauczyłam, że nie muszę zjadać wszystkiego, co sama upiekę.

– Jak ci idzie? Z tym pieczeniem?

– Prawdę mówiąc, znakomicie. W ostatnim kwartale zyskałam pięć tysięcy followersów i następnego poważnego reklamodawcę.

– To świetnie – mówi Coop. – Cieszę się, że wszystko ci się układa. Ktoregoś dnia mogłabyś upiec coś dla mnie.

Obok skinienia głową to jeszcze jeden stały element naszych rozmów. Coop zawsze to powtarza, nigdy na serio.

– A co u Jeffersona? – zagaduje.

– W porządku. Biuro obrońcy Publicznego wyznaczyło go do poprowadzenia dużej, ważnej sprawy.

Przemilczam fakt, że chodzi o obronę człowieka oskarżonego o zabójstwo detektywa z wydziału narkotykowego, zastrzelonego podczas nieudanego nalotu. Coop ma już dostatecznie niskie mniemanie o zajęciu Jeffa; nie ma potrzeby dolewać oliwy do ognia.

- To dobrze - mówi.

- Od dwóch dni nie ma go w domu. Poleciał do Chicago zebrać zeznania członków rodziny oskarżonego. Liczy na to, że zmiękczy w ten sposób ławę przysięgłych.

- Hmm - mruczy z roztertowaniem Coop. - Zgaduję, że jeszcze ci się nie oświadczył.

Zaprzeczam ruchem głowy. Zwierzyłam mu się wcześniej, że Jeff na pewno poprosi mnie o rękę podczas naszego sierpniowego urlopu na Outer Banks, ale do tej pory nie dostałam pierścionka. To prawdziwy powód, dlaczego ostatnio schudłam. Jak wiele dziewczyn w podobnej sytuacji zaczęłam uprawiać jogging, żeby się zmieścić w hipotetyczną suknię ślubną.

- Wciąż czekam - mówię.

- Doczekasz się.

- A co u ciebie? - pytam pół żartem, pół serio. - Znalazłeś sobie wreszcie dziewczynę?

- Nie.

Unoszę do góry brew.

- To może chłopaka?

- Spotkaliśmy się, żeby rozmawiać o tobie, Quincy - oznajmia bez choćby cienia uśmiechu Coop.

- Jasne. Ty zadajesz pytania. Ja odpowiadam.

Tak to się zawsze odbywa, kiedy spotykamy się raz, dwa, czasem trzy razy do roku.

Najczęściej przypomina to sesje psychoterapii, podczas których nie mam okazji zadać Coopowi żadnych pytań. Znane mi są jedynie podstawowe fakty z jego życia. Ma czterdzieści

jeden lat, zanim został gliną, służył przez jakiś czas w piechocie morskiej i w zasadzie był jeszcze żółtodziobem, kiedy znalazł mnie na drodze, wrzeszczącą wniebogłosy. Wiem, że nadal patroluje ulice miasteczka, gdzie wydarzyły się te wszystkie potworności, ale nie mam pojęcia, czy jest szczęśliwy. Czy choćby zadowolony. Albo samotny. Nigdy nie dostaję od niego pocztówek z wakacji. Ani razu nie przysłał mi kartki na Boże Narodzenie. Przed dziewięciu laty, na pogrzebie mojego ojca, usiadł w ostatnim rzędzie i wymknął się z kościoła, zanim zdążyłam podziękować mu za przybycie. Najwięcej ciepła okazuje mi w rocznicę moich urodzin – zawsze dostaję wtedy od niego identyczny SMS o treści: „Oto kolejny rok, którego prawie nie doczekałaś. Przeżyj go”.

– Jeff w końcu pójdzie po rozum do głowy – dodaje teraz, kierując rozmowę na wybrane przez siebie tory. – Założę się, że oświadczy ci się w Boże Narodzenie. Faceci często tak robią.

Pociąga solidny łyk kawy. Ja popijam herbatę i mrugam, przytrzymując zamknięte powieki w nadziei, że ciemność pomoże mi odczuć zbawcze działanie xanaxu. Zamiast tego denerwuję się bardziej, niż kiedy tutaj weszłam.

Otwieram oczy i widzę wchodzącą do kawiarni dobrze ubraną kobietę z puciołowatym, równie dobrze ubranym berbeciem. To najprawdopodobniej opiekunka, jak większość kobiet przed trzydziestką w tej okolicy. W ciepłe, słoneczne dni wylegają na chodniki – istna parada dziewcząt zaraz po studiach, uzbrojonych w dyplomy z literatury i kredyty studenckie. Ich twarze wciąż się zmieniają. Zwracam na nią uwagę tylko dlatego, że jesteśmy do siebie podobne. Świeża, rumiana twarz. Jasne włosy związane w koński ogon. Nie za chuda i nie za pulchna. Owoc krzepkiej, karmionej mlekiem populacji Środkowego Zachodu.

W innym życiu to mogłabym być ja. W życiu bez Pine Cottage, krwi i sukienki zmieniającej kolory jak w jakimś kosmarze.

To jeszcze jedno, o czym myślę zawsze, ilekroć spotykam się z Coopem: sądził, że moja sukienka była czerwona. Wy-szeptał to do dyspozytora, kiedy zadzwonił po wsparcie. Jego słowa znalazły się w policyjnym zapisie tamtej rozmowy, który wielokrotnie czytałam, i na nagraniu, którego tylko raz zdołałam wysłuchać.

„Ktoś biegnie przez las. Biała kobieta. Młoda. W czerwonej sukience. Krzyczy”.

Rzeczywiście biegłam przez las. W zasadzie pędziłam. Spod moich stóp wzbijały się tumany liści, a ja byłam zbyt otepiała, aby czuć przeszywający ciało ból. I chociaż w moich uszach rozbrzmiewało wyłącznie bicie własnego serca, krzyczałam ile sił w płucach. Jedyna rzecz, co do której Coop się pomylił, to kolor sukienki. Jeszcze godzinę wcześniej była biała.

Część krwi była moja. Reszta pochodziła od innych. Głównie od Janelle, którą obejmowałam, zanim sama zostałam ranna.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Coopa, kiedy zrozumiał swoją pomyłkę. Tych rozszerzonych oczu. Tej kreski warg, gdy ze wszystkich sił starał się nie otworzyć ust do krzyku. I zdumionego westchnienia, jakie mu się wyrwało. Dwie miary szoku, jedna miara współczucia.

To jedna z niewielu rzeczy, które w ogóle pamiętam.

Moje przeżycia w Pine Cottage dzielą się na dwie odrębne części. Jest początek, pełen strachu i dezorientacji, gdy z lasu wypadła Janelle, jeszcze żywa, chociaż niewiele czasu już jej zostało. I jest koniec, kiedy Coop znalazł mnie w mojej czerwonej nieczerwonej sukience.

Pomiędzy jednym i drugim ziele pustka. Plus minus godzina całkowicie wymazana z mojej pamięci.

„Amnezja dysocjacyjna” brzmi oficjalna diagnoza. Lepiej znana pod nazwą syndromu wyparcia. Zasadniczo wy-darzenia, jakich byłam świadkiem, okazały się zbyt potworne, aby mój kruchy umysł zdołał je udźwignąć. Usunęłam więc

koszmarne wspomnienia. Wykonałam coś w rodzaju lobotomii na własnym mózgu.

Co nie przeszkodziło innym domagać się ode mnie, abym sobie wszystko przypomniała. W tej grupie znaleźli się pełni dobrych intencji członkowie rodzin ofiar, błędnie pojmujący niesienie pomocy znajomi oraz psychiatrzy, którym marzyła się publikacja na temat mojego przypadku. „Postaraj się – powtarzali chórem. – Pomyśl o tym, co się tam stało”. Jakby to mogło coś zmienić. Jakby fakt, że przypomnę sobie każdy makabryczny szczegół, mógł przywrócić życie moim przyjaciołom.

Mimo to próbowałam. Terapii. Hipnozy. Nawet tej idiotycznej zabawy mającej pobudzić pamięć sensoryczną, podczas której terapeutka o kędzierzawych włosach, zasłoniwszy mi opaską oczy, przysuwała mi do twarzy perfumowane karteczki, pytając za każdym razem, jakie to we mnie budzi uczucia. Nic nie pomagało.

W moim umyśle ta jedna godzina przypomina wytartą do czysta szkolną tablicę. Nie pozostało nic poza kredowym pyłem.

Rozumiem tę potrzebę uzyskania nowych informacji, ten głód szczegółów. Ale sama wcale za nimi nie tęsknię. Wiem, co zaszło w Pine Cottage. Nie muszę pamiętać, *jak* to dokładnie przebiegło. Szczegóły mają to do siebie, że potrafią odwracać uwagę. Jeśli jest ich zbyt wiele, przesłaniają brutalną prawdę o danym wydarzeniu. Stają się krzykliwym naszyjnikiem, zakrywającym bliznę po tracheotomii.

Ja nie usiłuję zakrywać swoich blizn. Po prostu udaję, że nie istnieją.

To udawanie znajduje swój ciąg dalszy w kawiarni. Jakby wmawianie sobie, że Coop nie rzuci mi zaraz na głowę granatu złych nowin, jakoś mogło temu zapobiec.

– Przyjechałeś służbowo? – pytam. – Jeżeli zostajesz dłużej w mieście, Jeff i ja z przyjemnością zaprosimy cię na kolację.

Zdaje się, że wszystkim nam podobała się ta włoska knajpka, gdzie byliśmy w ubiegłym roku.

Coop spogląda na mnie sponad blatu stolika. Jego oczy mają najjaśniejszy odcień błękitu, jaki kiedykolwiek widziałam. Są nawet jaśniejsze od tabletki, która właśnie w tym momencie wchłania się do mojego centralnego układu nerwowego. Nie jest to jednak kojący błękit. Spojrzenie Coopa jest tak intensywne, że muszę odwracać wzrok, choćbym nawet chciała zajrzeć mu głębiej w oczy w nadziei, że uda mi się odczytać jego ukryte myśli. Dokładnie taki kolor, w ostrym odcieniu błękitu, powinny mieć oczy kogoś, kto ma za zadanie nas chronić.

– Chyba wiesz, dlaczego tu jestem – mówi.

– Nie wiem, naprawdę.

– Przynoszę złe wieści. Nie trafiły jeszcze do gazet, ale wkrótce to nastąpi. Szybciej, niż można by się spodziewać.

*On.*

Taka jest moja pierwsza myśl. To musi mieć jakiś związek z Nim. Chociaż widziałam, jak ginie, mój umysł błyskawicznie i nieubłaganie pogrąża się w nierealnym świecie, w którym On przeżył strzały Coopa, uciekł i latami się ukrywał, by teraz wyjść ze swojej pieczary z zamiarem odnalezienia mnie i dokończenia rozpoczętego dzieła.

*On żyje.*

Strach zalega mi w żołądku niby kula, ciężka, nie do ruszenia. Mam wrażenie, że uformował się tam guz wielkości piłki do koszykówki. Nagle okropnie chce mi się sikać.

– Nie o to chodzi – odzywa się Coop, bez trudu odgadując moje obawy. – Jego już nie ma, Quincy. Oboje dobrze o tym wiemy.

Chociaż miło jest słyszeć te słowa, w żaden sposób nie pomagają mi się rozluźnić. Dłonie mam zaciśnięte w pięści, nymknie wbijam w blat.

– Powiedz mi po prostu, co się stało. Proszę.

– Chodzi o Lisę Milner – mówi Coop.

- Co z nią?

- Nie żyje, Quincy.

Ta nowina wysysa z moich płuc całe powietrze. Chyba się dławię. Nie jestem pewna, bo wszystko zagłusza dobiegające z oddali echo głosu Lisy.

„Chcę ci pomóc, Quincy. Chcę cię nauczyć, jak być Ocalałą”.

Zgodziłam się i pozwoliłam, by mnie uczyła. W każdym razie przez pewien czas. Zakładałam, że zna się na tym lepiej ode mnie.

A teraz jej nie ma.

Zostałyśmy tylko my dwie.

W przypadku Lisy Milner rolę Pine Cottage odegrał należący do korporacji studentek żeński akademik w stanie Indiana. Pewnej lutowej nocy przed laty do drzwi frontowych zastukał niejaki Stephen Leibman. Tłuscioch o żółtawej twarzy, która trzęsa się jak kurzy tłuszcz. Nie skończył studiów i nadal mieszkał z ojcem.

Dziewczyna, która mu otworzyła, zobaczyła go na progu z nożem myśliwskim w ręce. Chwilę później nie żyła. Leibman wciągnął jej ciało do środka, zaryglował wszystkie wejścia, odciął przewód telefoniczny i zasilanie. To, co potem nastąpiło, okazało się mniej więcej godzinną jatką, w której życie straciło dziewięć młodych kobiet.

Niewiele brakowało, a Lisa Milner zaokrągliłaby ten wynik do dziesięciu.

Podczas masakry schroniła się w pokoju jednej z koleżanek. Skulona w szafie, otulona cudzymi ubraniami, modliła się w samotności, aby szalenciec jej nie odnalazł.

Jej modlitwy nie zostały wysłuchane.

Kiedy Stephen Leibman jednym szarpnięciem otworzył drzwi do szafy, pierwszą rzeczą, jaką ujrziała Lisa, był nóż.

Dopiero potem zobaczyła jego twarz. Jedno i drugie ociekało krwią. Dostała cios w ramię, mimo to zdołała kopnąć mężczyznę w krocze i uciec z pokoju. Zbiegła na parter i była już prawie przy wyjściu, gdy Leibman dogonił ją i znów zaczął dźgać nożem.

Zadał jej cztery rany klute w brzuch oraz klatkę piersiową, do tego doszło dziesięciocentymetrowe cięcie w rękę, którą próbowała się bronić. Kolejny cios by ją zabił, gdyby nie fakt, że krzyczącej z bólu i półprzytomnej od utraty krwi Lisie udało się chwycić Leibmana za kostkę.

Upadł i nóż wyśliznął mu się z palców. Lisa błyskawicznie go pochwyciła i wbiła napastnikowi w brzuch aż po rękojęść. Stephen Leibman wykrwawił się, leżąc obok niej na podłodze.

Szczegóły. Tak łatwo o nie, kiedy ciebie nie dotyczą.

Miałam siedem lat, kiedy to się stało. Pamiętam, że chyba po raz pierwszy zwróciłam wtedy uwagę na coś, o czym mówiono w wiadomościach. Nic dziwnego, że zapadło mi w pamięć: matka zamarła przed telewizorem i z dłonią na ustach powtarzała wciąż te same słowa: „O słodki Jezu. O słodki Jezu”.

To, co zobaczyłam na ekranie, przstraszyło mnie, zdezorientowało i zasmuciło. Widok zapłakanych gapiów. Procesja nakrytych brezentem noszy przesuwaną się przez drzwi zaklejone na krzyż żółtą taśmą. Jaskrawa plama krwi na śniegu. W tamtym momencie dotarło do mnie, że na świecie istnieje zło. Że każdemu może stać się krzywda.

Wybuchnęłam płaczem, a wtedy ojciec wziął mnie na ręce i zaniósł do kuchni. Zanim lzy obeschły, zastawił kuchenny blat miskami i napelnił je mąką, cukrem, masłem oraz jajkami. Wręczył mi łyżkę i pozwolił wszystko wymieszać. Tak wyglądała moja pierwsza lekcja pieczenia.

„Istnieje coś takiego jak nadmiar słodczy, Quincy – powiedział. – Wiedzą o tym najlepsi piekarze. Potrzebna jest przeciwwaga. Coś ciemnego. Albo cierpkiego. Albo kwaśnego.

Gorzka czekolada. Kardamon i cynamon. Cytryna i limonka. Przełamują słodycz, sprawiają, że wyczuwając ją, bardziej się to docenia”.

W tej chwili w ustach czuję jedynie suchość i cierpki posmak. Dosładzam herbatę i opróżniam kubek. Nic to nie daje. Wywołany nadmiarem cukru energetyczny kop neutralizuje działanie xanaxu, którego magicznej mocy właśnie zaczęłam doświadczać. Głęboko we mnie te dwie przeciwstawne siły ścierają się ze sobą, wywołując wewnętrzny dygot.

– Kiedy to się stało? – pytam Coopa, gdy tylko pierwszy szok zmienia się w coraz większe niedowierzanie. – I *jak* do tego doszło?

– Wczoraj późnym wieczorem. Policja z Muncie znalazła ciało około północy. Popelniła samobójstwo.

– O słodki Jezu.

Mówię to dostatecznie głośno, aby zwrócić na siebie uwagę mojego sobowtóra dwa stoliki dalej. Opiekunka zerka na mnie znad ekranu iPhone’a; przekrzywia przy tym głowę jak cocker spaniel.

– Samobójstwo? – powtarzam, a wypowiedziane słowo pozostawia gorzki smak na moim języku. – Myślałam, że była szczęśliwa. W każdym razie robiła takie *wrażenie*.

Wciąż słyszę głos Lisy, mówiącej: „Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, na co masz wpływ, to jak sobie z tym poradzisz”.

– Ciągłe czekają na wyniki badań toksykologicznych, żeby się upewnić, czy coś piła albo zażyła jakieś narkotyki – odpowiada Coop.

– Czyli to mógł być wypadek?

– To nie był wypadek. Podcięła sobie żyły.

Serce zamiera we mnie na ułamek sekundy. Jestem świadoma pustki, którą powinno wypełnić kolejne uderzenie tętna. W tę pustkę wlewa się smutek i wypełnia mnie tak szybko, że dostaję zawrotów głowy.

– Chcę poznać szczegóły – mówię.

– Wierz mi, nie chcesz – ucina Coop. – To i tak już niczego nie zmieni.

– Czegoś przynajmniej się dowiem. Lepsze to niż nic.

Coop wpatruje się w swój kubek z kawą, jakby szukał na jej brunatnej powierzchni odbicia swoich jasnych oczu. W końcu odzywa się:

– Wiem tylko tyle: za kwadrans dwunasta Lisa zadzwoniła na numer alarmowy. Najwyraźniej dopadły ją wątpliwości.

– Co dokładnie powiedziała?

– Nic. Zaraz się rozłączyła. Ale dyspozytor namierzył połączenie i wysłał do jej domu dwoje mundurowych. Drzwi nie były zamknięte, więc weszli do środka. Znaleźli ją w wannie, obok leżała w wodzie komórka. Musiała wysunąć jej się z ręki.

Coop wygląda przez szybę. Widać, że jest zmęczony. Chyba obawia się, że któregoś dnia też spróbuję czegoś podobnego. Jednak samobójstwo nigdy nie przeszło mi przez myśl, nawet kiedy w szpitalu karmiono mnie przez rurkę. Wyciągam dłoń ponad blatem, ale cofa rękę, zanim zdążę ich dotknąć.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś? – pytam.

– Dwie godziny temu. Zadzwoniła do mnie znajoma z policji stanowej w Indianie. Jesteśmy ze sobą w kontakcie.

Nie muszę pytać, skąd Coop zna jakąś policjantkę z Indiany. Nie tylko ocaleni z masakry potrzebują systemu wsparcia.

– Uznała, że powinienem cię uprzedzić – dodaje Coop. – Zanim o tej sprawie zrobi się głośno.

No tak. Prasa. Oczywiście. Lubię sobie wyobrażać dziennikarzy jako drapieżne sępy z ociekającymi krwią wnętrznościami w zakrzywionych dziobach.

– Nie zamierzam z nikim gadać.

Ponownie zwracam na siebie uwagę opiekunki, która podnosi głowę i przygląda mi się przez zmrużone powieki. Odpowiadam jej twardym spojrzeniem i nie odwracam wzroku, dopóki nie odłoży iPhone'a na stół i nie zacznie udawać, że bardziej interesuje ją powierzony jej opiece dzieciak.

– Nie musisz – stwierdza Coop. – Ale powinnaś przynajmniej wziąć pod uwagę krótkie oświadczenie, w którym złożysz kondolencje rodzinie. Pismaki z brukowców dopadną cię jak wygłodniałe psy. Lepiej byłoby ich uprzedzić i zawczasu rzucić im jakąś kość.

– Dlaczego w ogóle mam się wypowiadać?

– Dobrze wiesz dlaczego – odpowiada Coop.

– Samantha nie może?

– Nie, bo wciąż się ukrywa. Wątpię, aby po tym, jak zdołała skutecznie zapaść się pod ziemię, po tylu latach miała się nagle ujawnić.

– Farciara.

– Zostajesz więc ty – ciągnie Coop. – Dlatego chciałem się z tobą spotkać i osobiście przekazać ci tę wiadomość. Nie zmuszę cię do niczego, na co nie będziesz miała ochoty, ale nie byłoby źle zaprzyjaźnić się z prasą. Po śmierci Lisy i zniknięciu Samantha tylko ty im pozostałaś.

Sięgam do torebki po telefon, który milczy już od dłuższego czasu. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych nowych wiadomości. Tylko kilkadziesiąt służbowych e-maili, których rano nie zdążyłam przeczytać. Wyłączam komórkę, ale to tymczasowe rozwiązanie. Prędeż czy później dziennikarze i tak mnie wytropią. Coop ma rację: żaden nie oprze się pokusie zdobycia komentarza od jedynej dostępnej Ocalałej.

Bądź co bądź, sami nas stworzyli.

„Ocalała” to w slangu kinomaniaków bohaterka, która jako ostatnia dożywa końca filmu. Tak przynajmniej słyszałam. Już przed Pine Cottage nie przepadałam za horrorami; irytowały mnie sztuczna krew, gumowe noże i postacie podejmujące decyzje tak głupie, że – wstyd się przyznać – w moim mniemaniu same prosiły się o śmierć.

Sękam w tym, że w naszym przypadku – moim, Samantha i Lisy – to nie był film, tylko rzeczywistość. Nasza rzeczywistość. Krew nie była sztuczna, a noże okazały się zrobione

ze stali i diabelnie ostre. Zaś ci, którzy zginęli, bynajmniej na to nie zasłużyli.

Jednak jakimś cudem to my krzyczałyśmy najgłośniej, uciekałyśmy najszybciej, walczyłyśmy najbardziej zawzięcie. Udało się nam *przetrwać*.

Nie wiem, kto po raz pierwszy użył tego określenia w odniesieniu do Lisy Milner. Prawdopodobnie któraś z gazet ze Środkowego Zachodu, jej rodzinnych stron. Jakiś lokalny reporter opisujący masakrę w żeńskim akademiku chciał być kreatywny, a zwieńczeniem jego wysiłków okazał się ów przydomek. Dostatecznie makabryczny, a zarazem nieformalny, aby zaistnieć w sieci. Podchwyciły go świeżo powstałe internetowe serwisy informacyjne, a tradycyjna prasa, nie chcąc pozostać w tyle, natychmiast poszła w ich ślady. W pierwszej kolejności brukowce, potem gazety codzienne, wreszcie czasopisma.

W ciągu kilku dni dokonała się pełna transformacja. Lisa Milner przestała być zwykłą ofiarą masakry, której udało się ująć z życiem. Stała się Ocalałą rodem z hollywoodzkiego horroru.

To samo cztery lata później spotkało Samanthę Boyd, a po ośmiu latach – mnie. Chociaż w tym czasie nie brakowało wielokrotnych zabójstw, żadne nie przykuło uwagi opinii społecznej w takim stopniu jak te, w które byłyśmy zamieszane. Z jakiegoś powodu to my stałyśmy się szczęściarami, które przeżyły, podczas gdy reszta zginęła. Ładnymi dziewczynami unurzanyimi we krwi. Traktowano nas w związku z tym jak rzadkie i egzotyczne zjawisko – jakbyśmy były ptakiem, który tylko raz na dziesięć lat rozkłada jaskrawo upierzone skrzydła. Albo kwiatem, który – ilekroć się w końcu rozwinie – wydziela smród zgnilego mięsa.

Przejawy zainteresowania wzbudzanego przeze mnie w pierwszych miesiącach po Pine Cottage oscylowały między życzliwością a dziwactwem. Czasami jedno nie wykluczało drugiego, jak w przypadku listu, w którym pewna bezdzietna para proponowała, że opłaci za mnie chesne na

studiach. Odpisałam, że choć doceniam ich hojny gest, zmuszona jestem odmówić. Więcej się do mnie nie odezwali.

Zdarzała się też bardziej niepokojąca korespondencja. Straciłam rachubę, ile razy kontaktowali się ze mną przedstawiciele subkultury gotów albo więźniowie pragnący się ze mną umawiać, żenić, tulić mnie w swoich wytatuowanych ramionach. Pewien mechanik samochodowy z Nevady wymyślił, że przykuje mnie łańcuchem do ściany swojej piwnicy, żeby nic złego mnie już więcej nie spotkało. Jego szczerość była zdumiewająca – naprawdę wierzył, że uwięzienie mnie będzie najlepszym z dobrych uczynków.

Dostałam też wiadomość, której nadawca twierdził, że trzeba mnie wykończyć, bo moim przeznaczeniem jest zostać zaszlachtowaną. List nie był podpisany, nie było też adresu zwrotnego. Na wszelki wypadek oddałam go Coopowi.

Zaczynam się trząść. To skutek piorunującej mieszanki cukru i xanaxu, której wpływ można porównać ze skutkami najmodniejszych narkotyków zażywanych ostatnio na imprezach. Coop wyczuwa moją nagłą zmianę nastroju i mówi:

– Wiem, że ciężko ci to wszystko udźwignąć.

Przytakuję.

– Chcesz stąd wyjść?

Ponownie kiwam głową.

– W takim razie chodźmy.

Wstaję, a opiekunka przy sąsiednim stoliku znowu udaje zajęta dzieckiem, żeby na mnie nie patrzeć. Może mnie rozpoznała i ten fakt ją krępuje. Nie byłby to pierwszy raz.

Przechodząc obok, niepostrzeżenie zwiijam z jej stolika iPhone'a.

Kiedy wychodzę z kawiarni, tkwi głęboko w mojej kieszeni.

Coop odprowadza mnie do domu. Kroczy nieco przede mną, zasłaniając mnie dyskretnie swoim ciałem, jak agent Secret

Service. Oboje lustrujemy chodnik w poszukiwaniu dziennikarzy. Na razie żadnego nie widać.

Dochodzimy do mojego budynku i Coop przystaje tuż przed osłaniającą wejście bordową markizą. Mieszkam w przedwojennej kamienicy, eleganckiej i przestronnej, mając za sąsiadów damy z towarzystwa o włosach barwionych błękitną płukanką oraz szykownych dżentelmenów w pewnym wieku, głównie gejów. Założę się, że ilekroć Coop widzi ten dom, zachodzi w głowę, jak dziewczyna prowadząca bloga o pieczeniu i obrońca z urzędu mogą sobie pozwolić na wynajmowanie mieszkania na Upper West Side.

Prawda jest taka, że w życiu nie byłoby nas na to stać. Nie przy pensji Jeffa, która jest żałośnie niska, i z całą pewnością nie przy moich zarobkach za prowadzenie bloga. Mieszkanie należy do mnie. Kupiłam je za pieniądze zdobyte w wyniku licznych procesów wytoczonych po Pine Cottage. Idąc za przykładem ojczyma Janelle, rodziny pozostałych ofiar pozywały, kogo się tylko dało. Zakład psychiatryczny, który pozwolił Mu uciec. Jego lekarzy. Firmy farmaceutyczne produkujące leki przeciwdepresyjne i przeciwpsychotyczne, które namieszały Mu w głowie. Nawet producenta szpitalnych drzwi z niesprawnym zamkiem, przez które zbiegł.

Wszyscy pozwani wybrali ugodę pozasądową. Zdawali sobie sprawę, że warto wyłożyć nawet kilka milionów dolarów, byle uniknąć czarnego PR-u. Gdyby wyszło na jaw, że stają okoniem wobec żądań pogrążonych w żałobie rodzin, straty wizerunkowe byłyby znacznie większe. Niektórych jednak nie uratowała nawet ugoda. Jeden z leków przeciwpsychotycznych został ostatecznie wycofany z rynku, a szpital psychiatryczny w Blackthorn rok po tragedii na dobre zamknął swoje wadliwe podwoje.

Jedynymi ludźmi, którzy nie byli w stanie nam zapłacić, okazali się rodzice mordercy, którzy zbankrutowali, wykosztowawszy się na leczenie syna. Jeżeli o mnie chodzi, nie był

to żaden problem. Nie zależało mi na karaniu dwojga skolowanych i zrozpaczonych ludzi za Jego grzechy. Poza tym przypadająca mi w udziale suma odszkodowań okazała się aż nadto wysoka. Znajomy księgowy ojca pomógł mi zainwestować większość środków w akcje, gdy te były jeszcze tanie. Mieszkanie kupiłam zaraz po studiach, gdy rynek nieruchomości dźwigał się właśnie z potwornej zapaści. Dwie sypialnie, dwie łazienki, salon, jadalnia, kuchnia i kącik śniadaniowy, w którym urządziłam prowizoryczną pracownię – wszystko za bezcen.

– Wejdiesz? – proponuję Coopowi. – Nie widziałeś jeszcze, jak mieszkam.

– Może kiedy indziej.

Znowu to samo: zawsze tak mówię, nigdy na serio.

– Pewnie musisz już wracać – bąkam.

– Czeka mnie długa droga do domu. Poradzisz sobie?

– Jasne – przytakuję. – Jak tylko minie pierwszy szok.

– Zadzwoń albo napiszesz, gdybyś czegoś potrzebowała?

Tym razem mówi całkiem poważnie. Naprawdę jest gotów wszystko rzucić, żeby się ze mną zobaczyć – od tamtego poranka po Pine Cottage, gdy zdjęta bólem i żalem zawodziłam: „Chcę rozmawiać z tamtym policjantem! Pozwólcie mi do niego pójść!”. W ciągu pół godziny był na miejscu w szpitalu.

Dziesięć lat później znowu jest przy mnie i kiwa mi głową na pożegnanie. Odwzajemniam skinienie, on zaś ukrywa swoje błękitne oczy za ciemnymi szklami ray-banów i odchodzi, aby wmieścić się w tłum przechodniów i zniknąć mi z oczu.

W mieszkaniu udaję się wprost do kuchni i łykam drugą tabletkę xanaxu. Napój winogronowy, którym ją popijam, w połączeniu z wypitą wcześniej słodką herbatą, dostarcza mi tyle cukru, że aż mnie bolą zęby. Mimo to nadal go sączę, łyceczek za łyceczkiem, wyjmując jednocześnie z kieszeni skradziony iPhone. Szybki przegląd zawartości telefonu pozwala mi stwierdzić, że jego właścicielka ma na imię Kim i nie

używa żadnych zabezpieczeń. Mam dostęp do listy jej połączeń, historii wyszukiwań i odebranych wiadomości, w tym do ostatniego SMS-a od jakiegoś Zacha z kwadratową szczęką.

*Masz ochotę się dziś wieczorem zabawić?*

Dla jaj odpisuję mu:

*Pewnie.*

Telefon popiskuje mi w dłoni. Kolejny SMS od Zacha. Przysłał zdjęcie swojego fiuta.

Jak miło.

Dla bezpieczeństwa wyłączam dźwięk. Kim i ja może jesteśmy do siebie podobne, ale używamy zupełnie innych melodijek. Odwracam telefon; jego srebrzysty tył jest cały pokryty odciskami palców. Wycieram go do czysta, dopóki nie zobaczę własnego odbicia – jest zniekształcone, jakbym się przeglądała w krzywym lustrze w lunaparku.

Nada się idealnie.

Muskam palcami złoty łańcuszek, którego nigdy nie zdejmuję z szyi. Wisi na nim kluczyk do jedynej szuflady w kuchni, która jest zawsze zamknięta. Jeff zakłada, że trzymam w niej ważne służbowe papiery. Nie wyprowadzam go z błędu.

W środku znajduje się dźwięcząca zbieranina różnych przedmiotów z połyskujących metali. Lśniące opakowanie szminki i gruba złota bransoleta. Kilka łyżek. Srebrna puderniczka świeżnięta z dyżurki pielęgniarek w dniu wypisu ze szpitala, niedługo po Pine Cottage. W drodze do domu wpatrywałam się w nią, aby się upewnić, że faktycznie nadal istnieję. Teraz, widząc zerkające na mnie zniekształcone odbicia własnej twarzy, odczuwam tę samą spokojną pewność.

Tak, nadal istnieję.

Dołączam iPhone'a do swojej kolekcji, zamykam szufladę i przekręcam kluczyk w zamku, po czym odwieszam go na szyję.

To mój sekret, promieniujący przyjemnym ciepłem w okolicach mostka.

Przez resztę popołudnia unikam patrzenia na niedokończone babeczki, które zdają się na mnie gapić z kuchennego blatu, najwyraźniej oczekując, że potraktuję je w ten sam sposób, co wcześniej dwie inne, które tkwią kawałek dalej, obie pięknie przybrane i bardzo z siebie zadowolone. Wiem, że powinnam je dokończyć, choćby po to, żeby się lepiej poczuć. Bądź co bądź pierwsze przykazanie mojego bloga brzmi: „Pieczenie jest lepsze niż terapia”.

Zazwyczaj w to wierzę. Wiara ma sens. To, co zrobiła Lisa Milner – nie ma.

Wiem jednak, że na równie podły nastrój nawet pieczenie nie pomoże. Dlatego przechodzę do salonu, muskając po drodze czubkami palców nieprzeczytane wydania „New Yorkera” i dzisiejszego „Timesa”. Wmawiam sobie, że nie wiem, dokąd idę. Oczywiście wiem doskonale i tam też ląduję: przy biblioteczce pod oknem. Staję na krześle, żeby dosięgnąć najwyższej półki i schowanej tam książki.

Książki Lisy.

Napisała ją rok po swoim spotkaniu ze Stephenem Leibmanem, nadając jej tragiczny z perspektywy najnowszych

wydarzeń tytuł: *Wola życia: moja podróż przez ból do uzdrowienia*. Książka nieźle się sprzedawała, jak to zwykle bywa, gdy czyjeś życie przypomina film.

Lisa przesłała mi ten egzemplarz zaraz po Pine Cottage. Zadeedykowała go: „Dla Quincy, mojej dzielnej siostry w sztuce przetrwania. Gdybyś kiedykolwiek chciała porozmawiać, jestem do Twojej dyspozycji”. Poniżej schludnymi, prostymi cyferkami dopisała swój numer telefonu.

Nie zamierzałam do niej dzwonić. Powtarzałam sobie, że nie potrzebuję pomocy. Na co mi ona, skoro i tak niczego nie pamiętam?

Nie byłam przygotowana na to, że każda gazeta i każda sieć kablowa w tym kraju będzie drobiazgowo relacjonowała morderstwa popełnione w domku letniskowym Pine Cottage. Tak to nazwali – „masakrą w domku letniskowym Pine Cottage”. Co z tego, że była to raczej stara chałupa niż domek letniskowy. Nagłówki lepiej brzmiały. Poza tym dom rzeczywiście nazywał się „Pine Cottage” – słowa te wypalono na obozową modłę na cedrowej desce i zawieszono nad wejściem.

Nie licząc pogrzebów, unikałam publicznych wystąpień. Z domu wychodziłam tylko do lekarzy i na spotkania z terapeutą. Ponieważ na naszym trawniku koczowali reporterzy, matka była zmuszona wyprowadzać mnie ukradkiem kuchennymi drzwiami, skąd przez podwórko sąsiadów docierałyśmy do samochodu zaparkowanego przy następnej przecznicy. Nie zapobiegło to umieszczeniu mojego zdjęcia ze szkolnej kroniki na okładce magazynu „People” z podpisem: „Jedyna uratowana” na wysokości usianego pryszczami podbródka.

Wszyscy chcieli uzyskać wywiad na wyłączność. Dziennikarze telefonowali, mailowali i ślali SMS-y. Jedna znana reporterka – obrzydzenie nie pozwala mi wymienić jej nazwiska – dobijała się do drzwi, podczas gdy ja siedziałam po drugiej stronie, oparta plecami o dygoczące drewno. Zanim odeszła, wsunęła jeszcze odręczny liścik przez szparę pod drzwiami,

proponując mi sto tysięcy dolarów za wywiad twarzą w twarz. Kartka pachniała perfumami Chanel No. 5. Wyrzuciłam ją do kosza na śmieci.

Pomimo złamanego serca i świeżych ran, z których jeszcze nawet nie zdjęto szwów, wiedziałam, co jest grane. Prasa uparła się zrobić ze mnie kolejną Ocalałą.

Może lepiej bym to znosiła, gdyby moje życie rodzinne było choć trochę ustabilizowane. Niestety nie było.

Prześladujący ojca rak powrócił i zaatakował ze zdwojoną siłą. Po chemioterapii był zbyt udręczony mdłościami i osłabiony, aby móc ukoić moje zszargane nerwy. Mimo wszystko próbował. Po tym, jak niemal mnie stracił, nie krył, że dobre samopoczucie córki jest dla niego najważniejsze. Dbal, abym jadła, spała i nie użalała się nad sobą. Zależało mu, żebym doszła do siebie, chociaż sam z każdym dniem czuł się coraz gorzej. Pod koniec doszłam do przekonania, że przeżyłam tylko dlatego, że ojciec zawarł jakiś pakt z Bogiem, oddając własne życie w zamian za moje.

Przypuszczałam, że matka też tak to odbierała, lecz miałam zbyt wielkie poczucie winy i za bardzo się bałam, żeby ją o to zapytać. Zresztą taka rozmowa i tak nie miałaby większego sensu. Matka zdążyła się przełączyć na tryb serialowej „gotowej na wszystko”, zdeterminowanej za wszelką cenę podtrzymywać pozory normalności. Wmówiła sobie, że kuchnia wymaga remontu, jakby nowe linoleum mogło w jakiś sposób złagodzić podwójny cios zadany nam przez raka i wydarzenia w Pine Cottage. Kiedy nie wozila nas z ojcem na umówione wizyty, porównywała blaty kuchenne i przeglądała próbki farb. Do tego starannie przestrzegala swojego grafiku, obejmującego treningi spinningowe i spotkania klubu książki. W jej odczuciu zaniedbanie któregośkolwiek z towarzyskich zobowiązań oznaczałoby przyznanie się do porażki.

Ponieważ moja pachnąca paczulą terapeutka uważała, że powinnam mieć w kimś oparcie, zwróciłam się do Coopa.

Robił, co mógł, niech Bóg mu to wynagrodzi. W swoim czasie odebrał ode mnie w nocy sporo rozpaczliwych telefonów. Mimo to potrzebowałam kogoś, kto przeżył podobną jatkę jak ja w Pine Cottage. Lisa wydawała się wymarzoną kandydatką.

Zamiast uciec jak najdalej od traumatycznych wspomnień, postanowiła zostać w Indianie. Przez pół roku dochodziła do siebie, po czym wróciła na studia i zdobyła tytuł psychologa dziecięcego. W dniu wręczenia dyplomów zebrany tłum zgottał jej owację na stojąco, a dziennikarze tworzący żywy mur na tyłach audytorium uwiecznili ten moment w rozbłyskach fleszy.

Przeczytałam zatem jej książkę. A później odszukałam numer Lisy i zadzwoniłam.

„Pomogę ci, Quincy – usłyszałam. – Nauczę cię, jak być Ocalałą”.

„A jeśli ja nie chcę nią być?”

„Nie ty o tym decydujesz. Wybór już się dokonał. Nie zmienisz tego, co się stało. Jedyne, na co masz teraz wpływ, to jak sobie z tym poradzisz”.

Według Lisy oznaczało to wzięcie problemu na klatę. Za proponowała, żebym zgodziła się na kilka wywiadów, ale na swoich warunkach. Stwierdziła, że publiczna rozmowa na ten temat pomoże mi się zmierzyć z traumą.

Posłuchałam jej rady i udzieliłam trzech wywiadów: jednego „New York Timesowi”, jednego „Newsweekowi” i jednego „pannie Chanel No. 5”, która zapłaciła mi te obiecane sto tysięcy, chociaż ich nie żądałam. Kwota ta pozwoliła mi w znacznym stopniu sfinansować zakup mieszkania. A jeśli ktoś sądzi, że nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, grubo się myli.

Wywiady okazały się koszmarem. Czułam, że nie powinienam tak otwarcie mówić o zamordowanych przyjaciołach, którzy sami nie mogą się wypowiedzieć – szczególnie, że nie pamiętałam, co ich właściwie spotkało. Byłam przypadkowym

obserwatorem, w takiej samej mierze, w jakiej byli nimi ci, którzy rzucili się na moje słowa jak dzieci na cukierki.

Każda rozmowa pozostawiała we mnie pustkę, której nie mogłam zapelnąć żadną ilością jedzenia. W końcu przestałam próbować i pół roku po wyjściu ze szpitala ponownie w nim wylądowałam. W tym czasie ojciec ostatecznie przegrał walkę z rakiem i czekał już tylko na nokaut. Mimo to był przy mnie codziennie. Ślaniając się z wyczerpania na wózku inwalidzkim, łyżkami pakował we mnie lody, żeby zagłuszyć gorycz antydepresantów, które zmuszona byłam przyjmować.

„Łyzeczka cukru, Quinn – powtarzał. – Piosenka nie kłamie\*”.

Gdy tylko odzyskałam apetyt i wypisano mnie ze szpitala, zgłosiła się Oprah. Nieoczekiwanie zadzwonił do mnie jeden z jej producentów i oznajmił, że chcą nas zaprosić do programu: Lisę, mnie, a także Samanthę Boyd. Trzy Ocalałe, nareszcie razem. Lisa naturalnie przyjęła zaproszenie. Samantha także, co było o tyle dziwne, że już wtedy usiłowała zapaść się pod ziemię. W przeciwieństwie do Lisy, ani razu nie próbowała się ze mną skontaktować po Pine Cottage. Była równie nieuchwytna jak moje wspomnienia.

Też się zgodziłam, choć niewiele brakowało, abym na myśl o publiczności w studiu, złożonej z cmokających ze współczucia gospodyń domowych, przed którymi przyjdzie mi stanąć, na powrót pogrążyła się w otchłani anoreksji. Chciałam jednak poznać wreszcie pozostałe Ocalałe, a zwłaszcza Samanthę. Potrzebowałam alternatywy dla przytłaczającej otwartości Lisy.

Niestety, do spotkania nie doszło.

Tego ranka, kiedy miałyśmy lecieć z matką do Chicago, ocknąłam się w świeżo wyremontowanej kuchni, która wy-

---

\* Nawiązanie do piosenki *A Spoonful of Sugar* śpiewanej przez filmową Mary Poppins: „Łyzeczka cukru pomaga przełknąć lekarstwo”.

glądała jak pobojuwisko. Linoleum zaścielały rozbite talerze, z otwartej lodówki ciekł sok pomarańczowy, na blatach poniewierały się skorupki jajek i grudki mąki, a tu i ówdzie widać było tłuste ślady po ekstrakcie waniliowym. Wśród tego wszystkiego na podłodze siedziała moja matka i płakała nad córką, która nadal przy niej była, lecz wydawała się utracona na zawsze.

„Dlaczego, Quincy? – zawodziła. – Dlaczego to zrobiłaś?”

Za spustoszenia odpowiadałam oczywiście ja, nie żaden włamywacz-bałaganiarz. Zrozumiałam to, jak tylko zobaczyłam cały ten bajzel. W panującym wokół chaosie była logika, którą natychmiast rozpoznałam, chociaż w moim umyśle nie zachowało się ani jedno związane z tym wspomnienie. Minuty, podczas których dokonałam w kuchni dzieła zniszczenia, zostały z mojej pamięci wymazane równie doszczętnie, co tamta godzina w Pine Cottage.

„Nie chciałam – odparłam. – Nie wiem, co się tutaj stało, przysięgam!”

Matka udawała, że mi wierzy. Wstała, otarła łzy i ukradkiem poprawiła fryzurę. Jednak rozbiegany wzrok zdradzał prawdziwe emocje. Zrozumiałam, że zwyczajnie się mnie boi.

Podczas gdy ja sprzątałam kuchnię, matka zadzwoniła do producentów Oprah i odwołała mój przyjazd. Ponieważ w programie miałyśmy wystąpić wszystkie trzy albo żadna, swoim telefonem zaprzepaściła cały projekt. Słynne Ocalałe nie spotkały się w studiu telewizyjnym.

Później tego samego dnia matka zawiozła mnie do lekarza, który zasadniczo zalecił mi do końca życia przyjmować xanax. Matce tak pilno było mnie spacyfikować, że pierwszą tabletkę kazała mi połknąć już na parkingu przed apteką. Popiłam ją tym, co akurat było pod ręką – butelką letniego napoju winogronowego.

„Dość tego – oznajmiła mi. – Koniec z zanikami pamięci. Koniec z napadami szału. Koniec z odgrywaniem roli ofiary.

Masz odtąd łykać proszki i żyć jak normalny człowiek, Quincy. Innego wyjścia nie ma”.

Przyznałam jej rację. Nie chciałam hordy dziennikarzy na swojej uroczystości rozdania dyplomów. Nie chciałam napisać książki ani udzielać kolejnych wywiadów, w których opowiadałabym o tym, że ilekroć nadciąga burza, pieką mnie blizny. Nie chciałam być jedną z dziewcząt naznaczonych piętnem przeżytej tragedii, wiecznie kojarzoną z najgorszym dniem swojego życia.

Nabuzowana pierwszą tabletką zadzwoniłam do Lisy i zapowiedziałam jej, że odtąd nie będę już udzielała wywiadów. Miałam dość bycia ofiarą.

„Nie jestem Ocalałą” – oświadczyłam.

Głos Lisy nieodmiennie ociekał cierpliwością, co doprowadzało mnie do szału.

„Kim wobec tego jesteś, Quincy?”

„Jestem normalna”.

„Dla takich jak ty, ja i Samantha nie ma czegoś takiego jak normalne życie. Ale rozumiem, że chcesz przynajmniej spróbować”.

Życzyła mi powodzenia i dodała, że gdybym jej kiedyś potrzebowała, zawsze mogę na nią liczyć. Więcej ze sobą nie rozmawiałyśmy.

A teraz wpatruję się w twarz, której zdjęcie widnieje na okładce książki. Lisa ładnie na nim wyszła. Fotografia jest oczywiście wyretuszowana, ale w subtelny sposób. Życzliwe spojrzenie. Drobny nosek. Podbródek może odrobinę zbyt wydatny, a czoło odrobinę za wysokie. Żadna klasyczna piękność, po prostu ładna dziewczyna.

Lisa nie uśmiecha się na tym zdjęciu, bo też i tematyka książki nie skłania do uśmiechu. Wyraz twarzy ma dokładnie taki jak trzeba: ani nazbyt pogodny, ani nazbyt surowy. Idealne połączenie powagi i samozadowolenia. Wyobrażam ją sobie ćwiczącą tę minę przed lustrem i na tę myśl ogarnia mnie smutek.

Potem myślę o Lisie skulonej w wannie, z nożem w ręce. Ta myśl jest jeszcze gorsza.

Nóż.

Tego właśnie nie rozumiem, bardziej niż samej idei samobójstwa. Życie jest do bani. Ludzi spotykają nieszczęścia. Czasem ich to przerasta i postanawiają się wymeldować. Smutne to, ale takie rzeczy stale się przytrafiają. Nawet osobom pokroju Lisy.

Ale ona użyła noża. Nie połknęła fiołki pigulek i nie popiła ich wódką (dla mnie opcja numer jeden, gdyby kiedykolwiek miało do tego dojść). Nie zapadła łagodnie w śmiercionośne objęcia tlenu węgla (opcja numer dwa). Woląla zakończyć życie przy pomocy narzędzia, które przed laty omal nie wyprawilo jej na tamten świat. Świadomie przeciągnęła ostrzem po przegubach, zadbawszy o to, aby rany były dostatecznie głębokie i dzieło rozpoczęte przez Stephena Leibmana ostatecznie się dokonało.

Nie potrafię przestać myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdybyśmy nie straciły z Lisą kontaktu. Może w końcu byśmy się spotkały. Może zostałybyśmy przyjaciółkami.

Może mogłabym ją uratować.

Wracam do kuchni i otwieram laptopa, który służy mi głównie do prowadzenia bloga. Wpisuję w wyszukiwarke Google nazwisko Lisy i widzę, że wiadomość o jej śmierci nie trafiła jeszcze do sieci. To, że wkrótce tam trafi, jest nieuniknione. Jak ten fakt wpłynie na moje życie, pozostaje jednak wielką niewiadomą.

Kilka kliknięć i jestem na Facebooku – w mdłym bagnie lajków, linków i fatalnej gramatyki. Sama nie funkcjonuję w mediach społecznościowych. Zero Twittera. Zero Instagrama. Miałam kiedyś profil na Facebooku, ale zlikwidowałam go po zalewie współczujących wpisów i zaproszeń od nieznanym mi ludzi, których kręcił mój status Ocalałej. Nadal jednak mam tam profil swojego bloga. To zło konieczne. Teraz

zapewnia mi łatwy dostęp do profilu Lisy. Bądź co bądź była fanką *Słodkości Quincy*.

Widzę, że jej strona stała się wirtualną ścianą pamięci, pełną kondolencji, których Lisa nigdy nie przeczyta. Przewijam je. Są ich dziesiątki, większość dość schematyczna, ale płynąca prosto z serca.

„Będzie nam ciebie brakowało, Liso! XOXO”.

„Nigdy nie zapomnę twojego pięknego uśmiechu i niezwyklej duszy”.

„Spoczywaj w pokoju, Liso”.

Autorką najbardziej wzruszającego przesłania jest sarnioka brunetka o imieniu Jade.

„To, że przetrwałaś najtrudniejsze chwile swojego życia, zainspirowało mnie, aby zrobić to samo. Zawsze będziesz moim natchnieniem, Liso. Teraz, kiedy dołączyłaś do grona aniołów w niebie, czuwaj nad tymi z nas, którzy zostali tutaj na ziemi”.

Wśród licznych zdjęć zamieszczanych latami przez Lisę w jej facebookowej galerii odnajduję fotografię Jade. Pochodzi sprzed trzech miesięcy i przedstawia je obie, pozujące twarz przy twarzy w czymś, co wygląda na park rozrywki. W tle widać skrzyżowane drewniane podpory kolejki górskiej. Lisa ściska w ramionach wielkiego pluszowego misia. Nie ulega wątpliwości, że ich uśmiechy są szczerze. Nie sposób udawać takiej radości. Bóg mi świadkiem, że próbowałam. Mimo tej radości spowija je aura melancholii. Dostrzegam ją w ich oczach. Rozpoznaję ten sam podświadomy smutek, który wkrada się do moich zdjęć. Kiedy w ostatnie święta Bożego Narodzenia wybraliśmy się z Jeffem do Pensylwanii odwiedzić moją matkę, pozowaliśmy razem do zdjęć na tle choinki, udając prawdziwą, normalną rodzinę. Później, podczas przeglądania fotek na swoim komputerze, matka wzięła mój sztywny uśmiech za grymas i skomentowała go, mówiąc: „Chyba by cię nie zabiło, gdybyś się uśmiechnęła, Quincy?”.

Następne pół godziny upływa mi na szperaniu w galerii Lisy i oglądaniu urywków jej życia, tak różnego od mojego. Wszystko wskazuje na to, że było ono udane, chociaż nigdy nie wyszła za mąż, nie ustatkowała się i nie miała dzieci. Otoczyła się ludźmi – krewnymi, przyjaciółmi i dziewczynami takimi jak Jade, które potrzebowały czyjejs zyczliwej obecności. Mogłam być jedną z nich, gdybym tylko pozwoliła jej się do siebie zbliżyć.

Zamiast tego postępowalam dokładnie na odwrót. Trzymałam ludzi na bezpieczny dystans, a kiedy trzeba – odpychałam. Bliskość stanowiła luksus, na którego utratę nie mogłam sobie więcej pozwolić.

Przeglądając zdjęcia Lisy, wyobrażam sobie samą siebie na każdym z nich. Oto ja, pozująca razem z nią na krawędzi Wielkiego Kanionu. Oto my, ocierające wilgotną mgiełkę z twarzy nad wodospadem Niagara. I znowu ja, w grupie kobiet w kręgielni, wyrzucających w górę nogi w dwukolorowych butach. Podpis pod spodem brzmi: „Kumpele z kręgielni!!!”.

Zatrzymuję się dłużej przy fotce, którą Lisa zamieściła przed trzema tygodniami. To selfie zrobione pod dziwnym kątem, jakby od góry. Widać na nim Lisę w jadalni o ścianach wyłożonych drewnem, która trzyma w ręce butelkę wina. Podpisała je: „Czas na wino! LOL!”.

Z tyłu za nią stoi jakaś dziewczyna, ledwie widoczna w kadrze. Przypominają mi się rzekome fotografie Wielkiej Stopy pokazywane w obciachowych programach o zjawiskach paranormalnych: pasmo ciemnych włosów i głowa odwracająca się od obiektywu.

Chociaż nie widzę jej twarzy, czuję z nią swego rodzaju pokrewieństwo. Podobnie jak owa nieznajoma, ja także odwróciłam się od Lisy, wycofałam poza kadr, wołałam być sama. Stałam się niewyraźnym kształtem – odartą ze szczegółów nieostrą, ciemną plamą.

## KIM JESTEM?

Każdego dnia myślę, że jestem szczęściarą. W moim związku układa się doskonale, mój blog kulinarny ciągle zyskuje nowych fanów. Żyję z dnia na dzień, skupiając się na przyjemnych chwilach.

## KIM BYŁAM?

Celem. Ofiarą. Nazwali mnie Ocalałą, bo przeżyłam masakrę. Tamte wydarzenia kładą się cieniem na moim życiu, mimo że od dziesięciu lat robię wszystko, aby wymazać je z pamięci.

## CO SIĘ ZE MNĄ STANIE?

Boję się. Historie z przeszłości powracają, gdy przypominam sobie, że nie jestem jedyną Ocalałą. Takich jak ja było kilka, ale nie wszystkie miały tyle szczęścia. Lisa już nie żyje, a Sam nagle zjawia się u mnie...

Przeszłość właśnie mnie dogoniła i muszę stanąć z nią twarzą w twarz. Czy tym razem też ocaleję?

ISBN 978-83-7515-428-3



9 788375 154283

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

E-book dostępny na

**woblink.com**

Cena detal. 39,90 zł